

Pawi ogon

Autor: Jacek Józwiak

O dorszowym rejsie na łebskim katamaranie "Kubuś" i o tym jak niemal nie zginąłem śmiercią tragiczną od pilkera spadającego z nieba.

Pawim ogonem nazywana jest przez pełnomorskich repów wielobarwna przywieszka, zawieszona powyżej pilkera na bocznym troku. To dość skomplikowana konstrukcja z piór, włosia oraz metalicznie błękitnej lamety, zawiązana na lekkiej główce jigowej. Regulamin połowów w morzu pozwala na cztery troki boczne. W praktyce nie stosuje się ich podczas łowienia dorszy, bowiem potrafią się niemiłosiernie plątać i obrzydzić frajdę pilkerowania. A obrzydzenie na sfalowanym morzu jest rzeczą niepożądaną. Też prowadzi do pawich ogonów. Innej jednak natury - żołądkowej...

Dojeżdżamy do Łeby o nieprzyzwoicie wczesnej porze. "Kubuś", pasażerski katamaran znany chyba wszystkim "dorszakom" z Polski, bieli się przy nabrzeżu starego portu rybackiego.

Port już nie ten, co przed kilkunastu laty. Zniknęły gdzieś żółte kutry - pomeranki, maluchy w sam raz dostosowane do długości bałtyckiej fali. - Choćby bałwany sięgały chmur - zapewniali niegdysiejsi szkutnicy - to bocik nie da się zesztormować i zawsze pozostanie na wierzchu. Coś w tym przekonaniu musiało być, skoro na dno szły raczej jednostki o nietypowej budowie - zbyt krótkie lub zbyt długie w stosunku do doświadczeń starych kaszubskich cieśli-okrętników. W ogóle łebski port przestał już wyglądać jak rybacka przystań. Kutrów stoi przy nabrzeżu niewiele, okolice kei nie śmierdzą już rybą, najbliższe rejony nie dymią wędzarniami. Pozbawione godowych czapek śmieszki żebrzą u przechodniów o kęs chleba czy o chipsa, nie zaś - jak dawniej - trzymają się rybackich jednostek.

Pogoda dobra. Wiatr wieje niezbyt silnie i to z południowego-zachodu, a więc jest ciepły i nie rozbuchujący morza. Dziwimy się tej pustce przy nabrzeżu i wyobrażamy sobie, że wszystkie kutry spotkamy na morzu. Będziemy do nich machać z pokładu "Kubusia" - obiecujemy sobie solennie.

Okaże się jednak, że machniemy może ze trzy razy. Spotkamy raptem kilka jednostek łowczych - na ogół nowoczesnych, żelaznych burtowców i kilka rufowców. Te pierwsze wydają sieci z burty, te drugie, większe, nowocześniejsze i bardziej operatywne, ciągną włoki wypuszczone z wind kotwicznych na rufie.

Dowiemy się później od członków załogi katamarana, że rybactwo przeżywa ogromny kryzys. Łebianom bardziej opłaca się opatentować określenie "Łeba - letnią stolicą Polski", niżli urabiać ręce po łokcie na pokładach rybackich kutrów. Dlatego nawet latem w smażalniach ustawionych wzdłuż promenady nadmorskiej prędeż zje się morszczuka, sandacza, halibuta a nawet sielawę, niż swojskiego dorsza, śledzia, węgornicę. Honor Bałtyku ratują jedynie maleńkie fląderki, których sporo można jeszcze spotkać w pobliżu polskich wybrzeży. Ale już na przykład ogromny skarp, turbotem zwany, zabierany jest najczęściej przez rybaków do domu i ze smakiem zjadany przez ich najbliższych. GDZIE TE WOPY?

Mustrujemy się na pokład witani przez szypra Cisowskiego. Formalności polegają na samodzielnym wpisaniu "na wiarę" swych nazwisk i numerów dowodów osobistych. Paszportów nam nie potrzeba, gdyż będziemy trzymać się polskich wód terytorialnych. Rozkładamy nasz bagaż, ubieramy się ciepło i nieprzemakalnie, rozkładamy wędziska. Trwa giełda pilkerów - kilkunastu chłopów wzajem pęka z zazdrości. Bo w pudełkach cuda i cudeńka, barwy, ozdobniki chwosty, piórka i "gumiaczki".

Zawiść budzi każdy nie posiadany w zbiorach własnych model, do pasji doprowadzają prawdziwe morskie agrafki, do których przyszaklować dałoby się niewielką kotwicę łodzi straży przybrzeżnej. Posiadacze autentycznych wędzisk morskich o ciężarze wyrzutowym przekraczającym 200 g oraz mocnych kołowrotów nawijających na szpulę 350 m "pięćdziesiątki" są szczególnie traktowani...

Szczerzymy do nich zęby, uśmiechamy się fałszywie, tiurlutamy o naszym szacunku i podziwieniu, zaś w duchu życzymy im "anidorsza". Ale bierzemy ich kije do ręki, przymierzamy się i... nie lubimy ich chwilowo jeszcze bardziej. Kadłub zaczyna drzeć. Cumy spadają na pokład. Odbijamy. Ktoś ciekawski wchodzi do sterówki. Przynosi wiadomość, że można u szypra kupić interesujące pilkery, mocne żyłki, a nawet tanie, szklane lub kompozytowe, ale wytrzymałe jak diabli wędziska oraz wielkie kołowroty. Gruby sprzęt jest zlekceważony, ale po pilkery rzuca się kilku kolegów. Oj, dadzą dorszom popalić.

Wypływamy poza falochron. Ci, którzy odbywali wyprawy dorszowe za poprzedniego systemu, ze

zdziwieniem przyglądają się wymarłej placówce straży granicznej. Ktoś niby wygląda przez okno, ale nie wychodzi przed domek. Przyglądamy się też wysokim, metalowym wieżom obserwacyjnym, z których przed laty zawsze wystawał jakiś pogranicznik, pilnie błyskając na północ szklanymi potężnej lornety.

Załoga pomaga nowicjuszom. Marynarze pokazują, w jaki sposób mocować pilkery. Trwa swoista giełda, podpytywania, podpuchy. Dzieją się pierwsze tragedie - idziemy w poprzek fali, katamaran jest stabilny na boki, ale przechyły wzdłużne na dziobie i rufie wyrwywają pokład spod nóg, by po kilku sekundach wbić stopy w nitowaną blachę. Za burtę leci kilka pawich ogonów. Ten i ów staje się zielony niczym bohater czeskich baśni - wodnik Szuwarek. Ktoś inny staje się błękitny jak smerf, jeszcze inny blady jak własny trup.

Generalnie jednak trzymamy się nieźle - zapewnia jeden z matrosów. Zdarzają się grupy, które składają w ofierze Neptunowi nawet zawartość własnych pęcherzyków żółciowych i zamiast łowić ryby jęczą o zmiłowanie przez calutki rejs.

A nasi - nawet ci źle znoszący pobyt na morzu - szykują się do łowów na całego.

- Dziewiętnaście i pół metra! - Ta płynąca z głośnika informacja rzuca nas na burty. - Echosonda pisze ryby - zapewnia szyper. Stajemy w dryf. Przychyły się zwiększają. Równo z pilkerami do Bałtyku lecą kolejne pawie ogony. Ale chorujący koledzy pod kilku chwilach też wysyłają w morze swe przynęty. Metody są różne - jedni spuszczaają pilkery pod burty, inni wyrzucają je na możliwie największą odległość. Jest nawet ambitny spinningista, który posyła w dal standardową błyskącą wahadłową - dużego, gnomopodobnego Effzeta.

Pada pierwszy dorsz. Z dumy zieleń twarzy jego pogromcy zmienia się w radosną purpurę. Członek załogi podbiera rybę hakiem. Wątlusz nie jest specjalnie wielki, ale na jednej patelni i tak nie da się usmażyć. Dostaje w łeb i idzie do worka. Jutro trafi na patelnię i do historii kulinariów żony bohatera.

Dorsz złowiony osobiście nie jest w najmniejszej mierze porównywalny w smaku do dorsza kupionego w sklepie. Powód jest prosty - droga ryby do sklepu jest długa, kręta i pełna pośredników, zamrażarek, skrzyń z lodem i wytrzęsionek w rozlicznych samochodach. Droga dorsza schwytanego samodzielnie jest natomiast najkrótsza z możliwych. Ryba trafia na talerz po prostu autentycznie świeża i nie poobijana. Różnica porównywalna do jabłka rwanego z drzewa i tego kupionego na marnej jakości bazarku.

DALEKOMORSCY GÓRĄ

Padają kolejne ryby. I choć letni dorsz nie jest ani waleczny, ani silny, ani zdeterminowany, i tak mamy wrażenie, że na hakach wisi ryba życia. A przecież wąsal letni, nawet największy, stosunkowo łatwo daje się oderwać od dna, a oderwany idzie w górę niczym kalosz czy małe wiaderko - praktycznie bez walki.

Co innego zimowy...! Wątlusz ten jest rybą mocarną. Kilogramowy muruje do dna niczym mała łódź podwodna, zaś oderwany odeń walczy zawzięcie i nieźle daje popalić wędkarzowi. Siłuje się do samej powierzchni, miewa długie odjazdy, nurkowania. Nie zawsze też daje się za pierwszym razem podhaczyć osęką. Duży natomiast - a przecież nadal w Bałtyku żyją dwucyfrowki - bywa nie do wyrwania ze swej przydennej ostoi. Pękają najtęższe kije, palą się hamulce kołowrotek, trzaskają trzydziestofuntowe plecionki i rozginają wzmacniane Mustady i Gamakatsu. Wąsal sześciokilowy zajmuje doświadczonemu wędkarzowi nawet kilkanaście minut, "ósemak" unieruchomi kuter nawet na pół godziny...

Ech... Na taką frajdę przyjdzie czas dopiero za pół roku. Teraz trzeba zadowolić się letnim.

- Kije w górę! - Pada z megafonu. Zmieniamy łowisko. Szyper szuka kolejnej górki. Nie będzie miał z tym najmniejszego problemu. "Kubus" wyposażony jest w najnowocześniejsze namierniki korzystające z satelitów. Położenie geograficzne daje się określić do kilku metrów. O sekstansach, locjach zapisywanych w pożółkłych brulionach zapomniano już na dobre. Choć przecież Cisowski to drugie pokolenie rybaków i docenia wiedzę ojca, który na pamięć trafiał na najlepsze łowiska.

Starzy rybacy na pamięć znają szlaki przemieszczania się ryb. Ich doświadczenie uwzględnia wszystko - i pory roku, i stan morza, i kierunek wiatru, i zmienne prądy rwące pod sfałowaną powierzchnią. Do sędziwych szyprów i szturmanów chodzą po prośbie najlepiej wyposażeni zwolennicy nowoczesności. Furda z echosondą, czort z satelitarnymi namiernikami w porównaniu do wiedzy pokoleń.

Dostanie posiadacz najwyższej klasy elektroniki pokładowej namiar od starego rybaka i pędzi na Dzeusowe Płoso, bowiem starych nie słuchać, to grzech, pycha i głupota.

- Dwadzieścia dwa metry! - Głosi megafon. Kolejny dryf. Kolejne ryby. Wielkościowych sensacji nie ma, największy dorszak ma może trójkę, ale ryb pada sporo. Biedna załoga gania z burty na burtę i podhacza złowione ryby. Lepsze efekty mają "dalekomorscy", to znaczy ci, którzy na dużą odległość podają pilkery. Dwustugramowy kawał żelastwa podróżuje wówczas skokami, niczym sandaczowy jig. Penetruje większą połąć wody i zdaje się bardziej wkurzać przyklejone do kamienistego dna wątlusze.

Pobić praktycznie nie odczuwa się. Zbyt daleko w morzu żyłka, zbyt głęboko. Ale natychmiast czuje się potworny opór, ogromną siłę skierowaną do dna. Wędzisko, choćby przypominało konstrukcją tyczkę Siergieja Bubki, kłania się morskim bałwanom. Zaczyna się pompowanie. Byle nie na kołowrotku. Tego nie wytrzyma nawet konstrukcja morskiego multiplikatora. A więc podciągnięcie na kiju, opuszczenie szczytówki przy jednoczesnym wybraniu luzu i kolejna pompka. I tak do skutku - aż galaretowate cielsko dorsza znajdzie się w zasięgu gafa.

Nie można powiedzieć, że wędkarze podburtowi, ci, którzy spuszczaają przynętę pod kuter, nie mają żadnych wyników. Katamaran postawiony w dryf przemieszcza się dość szybko nad górką dorszową, więc i oni penetrują spory obszar łowiska. Co pewien czas i ich wędziska kłaniają się Bałtykowi.

Jest nieźle - nawet wahadłowiec kosi ryby. GOŚCIE I WYPADKI

Mamy pasażera na gapę. To jakiś malutkie ptaszę z żółtą czapczką na łebku, które chyba przespało wypłynięcie "Kubusia". Trzyma się pokładu. nawet przestraszone odfruva tylko na krótką chwilę i natychmiast powraca na statek. Tak bardzo zależy mu na kiwającym się kawałku stałego gruntu, że łązi po naszych butach, przysiąda na ramieniu czy czapce, a nawet daje się zamknąć w dłoni jednego z kolegów. W końcu wybiera sobie zaciszne miejsce w załamaniu dachu sterówki, tuż za tratwą ratunkową, i nie wyłazi stamtąd do końca rejsu.

Tu i ówdzie dzieją się maleńkie wypadki. A to zaczepią się o siebie żyłki, to pęknie zbyt brutalnie potraktowany kij, czy zerwie się dwieście metrów osłabionej linki. Z rzadka rwie się na którymś z nielicznych zaczepów gruba żyła. Nic groźnego, normalka podczas wspólnego wędkowania.

Ofiarą najpoważniejszego wypadku padam oczywiście ja. Jakżeby inaczej... Stoję na przodzie statku, opieram się o reling między kadłubami. W pewnym momencie spada mi na ciemię sterówka razem z załogą, radarem, tratwą ratunkową. To znaczy tak mi się wydaje, zanim nie ogarnie mnie ciemność, nie gibnę się ku morzu, nie odgibnę w tył i nie klapnę tyłkiem na pokład.

Prawda jest dużo bardziej prozaiczna. Otóż jednemu z moich przyjaciół omsknął się palec na żyłce i stu pięćdziesięciogramowy pilker miał lecieć w dal i dal, zlobował z dziesięć metrów nad pokładem i spadł na moją biedną głowiznę. Bogu dzięki, że nie na sztorc, bo zakończony był ostro i zapewne pośmiertnie przypominałbym jednorożca z różkiem fluo-orange wystającym z ciemienia. Walnął mnie w poprzek - na szczęście - i tylko na sekundę odebrał mi zmysły.

Ale i tak rejs przestał mi się podobać. Bałem się każdego świstu kija, rozglądałem na boki jak kolporter ulotek w ChRL. A pawie ogon wyrzuciłem na drugi dzień do toalety w szpitalnej izbie przyjęć - tuż przedtem zanim lekarz stwierdził lekkie wstrząśnienie mózgu.

Prawdziwa jest bowiem stara rybacka zasada - zanim pomyślisz o rybach, pomyśl o współkolegach na łodzi.